

Waleria Marrené

JÓZWA SZYMCZAK

nowella

Józwa Szymczak siedział podparty w karczmie na ławie, przy nim stał półkwaterek blaszany wysączony do dna, i leżała czapka barania, spłowiała już i wytarta od długiego noszenia. Bo też był to koniec zimy, na dworze szalał wicher marcowy i siekł w oczy krupami śniegu, które padając na ziemię, rozpląwały się w czarne błoto, a tylko na dachach bieleły chwilę, zanim kroplami staczały się i kapały ze strzech słomiannych. Toć nie dziw, że chociaż to był dzień powszedni, ludzie gromadzili się w karczmie. Jaki taki zaglądał tutaj, żeby się rozgrzać, a że wstępowali i przejeżdżający gościńcem, więc w karczmie gwarno było i ludno. Izba to była duża, zdeptana, z wysokim pułapem z oknami wychodzącymi na gościniec. Przez nie widać było błotnistą drogę, pełną wielkich kałuży i kamieni gdzie nigdzie

sterczących, ciągnącą się pomiędzy bielejącymi jeszcze śniegiem
polami, i gęsi
wałęsające się koło karczmy, i kwiczący dobytek, i obłamane wierzby
przy drodze
z obdartymi pniami i młodeymi gałązkami rozwianymi wichrem.
Wszystko to było brzydkie, smutne, opuszczone i powleczone
czarnym kolorytem,
jak niebo ołowiane, ciemniejące nad lasem, które sypało nieustannie
mokrym
śniegiem.

Nie było tu jednak żadnej poetycznej duszy, któraby odczuwała
smutek natury.
Kumoszki i gospodarze wstępujący do karczmy, częstowali się
wzajem kieliszkiem
wódki, przepijali do siebie, zamieniali po parę słów ze szpakowatym
Moszkiem,
który za szynkwasem palił krótką fajeczkę i nalewał półkwatki, w
czym pomagała
mu gorliwie kilkunastoletnia Fejga, piegowata Żydóweczka o
wielkich czarnych
oczach i włosach rudych jak miedź roztopiona.
Tym sposobem w karczmie przewinęła się niemal wieś cała, każdy
zakręcił się,
pogadał, roześmiał, lub zaklął i wyszedł, tylko Józwa Szymczak nie
ruszał się z
miejsca. Niby patrzył a nie patrzył na przechodzących koło niego ludzi
i nie
zdawał się zważać na ich spojrzenia ani gadania.
Był to człowiek młody jeszcze, muskularny, barczysty, ciemne włosy
gęste i
kręcone spadały mu na czoło pokryte bruzdami frasunku czy troski,
bo wiek
jeszcze nie miał czasu wyźłobić się na niem. W twarzy jego
przyciemnionej od

promieni słonecznych, od wichrów i dżdżów zimowych, widną była
jakaś energia i
determinacja, która w innych warunkach mogła być nadać jej
sympatyczny
charakter i uczynić z tego silnego wieśniaka typową postać
niezmordowanego
pracownika. Wpatrzywszy się w nią głębiej dostrzegało się słodycz
wielką w
zarysie ust i ślady na nich dawnych uśmiechów, ale teraz
determinacja i energia
w połączeniu z ponurym wyrazem czyniła ją przykrą.
Nie wiadomo, czy myślał on o czym, a przynajmniej jeśli myślał, czy
umiał sobie
z tych myśli zdać sprawę. Najprędzej myśli jego jak myśli dziecinne
błąkały się
bez kontroli i ładu. Zapewne snuły się one około wichru, który
wyrwał mech ze
szpar w jego chałupie i obdzierał poszewkę ze strzechy, około wody,
co zalewała
puste doły po wygniłych kartoflach, a może około przednówkowego

głodu, który w podobne lata zaglądał gęsto do chat kilkomorgowych
osadników,
zwłaszcza gdy gąb do jada było wiele a mało rąk do pracy, a może
około postaci
schorowanej kobiety jego Jagny, i dzieciaków, których było troje.
Ale wie, nie musiał myśleć on o nich, bo wówczas zamiast siedzieć w
karczmie,
poszedłby za jakim zarobkiem, którego przecież zdrowym rękami u
nas nie brakuje.
Józwa był chłop dobry i pracowity, a choć teraz popadł w biedę, nie
była to jego
wina. Od jakiegoś czasu wszystko mu szło oporem, jak gdyby kto
zamówił. Krowa mu
się zmarnowała, woły podupadły tak, że je dorznać musiał. Dziecko
dał Bóg

czwarte, ale wykosztował się tylko na chrzciny i musiał zaraz sprawić pochówek,
a kobieta jak zaniemogła, tak przez całą zimę nie przyszła do siebie, kaszlała i kaszlała, a wymizerniała, a schudła i zczerniała, że nikt nie mógł w niej poznać tej Jagny, którą niegdyś nazywali białą Jagną dla jej urody. Jaki taki przechodząc koło Józwy spoglądał na niego i miał ochotę zagadać, aż wreszcie jedna z kobiet, — w takich razach kobiety bywają śmielszej natury, podeszła ku niemu i rzekła.
— Jak się macie kumie?
Miała prawo w ten sposób odzywać się do niego, bo trzymała mu do chrztu jedno z dzieci.
Józwa podniósł głowę, jak człowiek ze snu zbudzony, ale nachmurzył się jeszcze bardziej i mruknął przez zęby tak, że trudno go było zrozumieć.
— Jak się mam, to mam.
I podparł się znowu nie rad widocznie wdawać się w gawędkę. Jednak kuma jego Michałowa, pospolicie Michałką zwana, nie zraziła się tym opryskliwym tonem. Podeszła bliżej jeszcze.
Cóż to u was święto dzisiaj czy co, że tak siedzicie za stołem?

Józwa spojrział na nią a oczy mu zabłyśły gniewem.
— A wam co do tego? — zawołał.
Michałka nie dała się zbić z tropu tym wybuchem, podparła się pod boki, jak zwykła była robić kiedy czuła że ma słuszość po sobie i zawołała.
— Chyba Boga w sercu nie macie, żeby tu przepijać pieniądze, kiedy tam wasza mrze głód w chałupie.
Józwa zerwał się, i można było myśleć, że rzuci się na Michałkę za jej śmiałość.

Ale to tak się tylko zdawało. Przez chwilę patrzył na nią i mruczał coś niezrozumiałego, postąpił do szynkwasu, i na złość chciał zawołać.

— Hej jeszcze półkwaterek.

Przecież nie powiedział nic, tylko w milczeniu sięgnął po czapkę leżącą na

stole, wcisnął ją na uszy, i wyszedł z karczmy nie powiedziawszy nikomu słowa,

nie kiwnąwszy głową, drzwi zatrzęsnał, że o mało z zawias nie wypadły, i można

było widzieć przez okno, jak kroczył powoli błotnistą drogą ku chacie, znajdującej się po drugiej jej stronie, na samym końcu wsi, a wiatr rozwiewał mu

ciemne kędziory włosów i poły kozucha.

Po wyjściu Józwy przez chwilę była cisza w karczmie, aż wreszcie kobiety

otoczyły Michałkę.

— Dobrzeście mu powiedziała kumo — odezwały się chórem.

Zwycięztwo to jednak i uznanie powszechne nie robiły na niej wielkiego wrażenia,

przyszła tutaj za interesem, chciała kupić funt soli, którą zawsze szynkarz miał

na sprzedaż, a chociaż wiedziała z doświadczenia, że funty u niego były mniejsze

i droższe niż w mieście, to przecież za takim małym sprawunkiem nie chciała

chodzić mile drogi. Zbliżyła się do szynkwasu i zaczęła wydobywać parę groszy

schowanych w węzełku.

— A na co wy mnie Michałowa ludzi z karczmy wyganiacie — zaczął Mosiek,

odważając starannie funt soli, którego ona z oka nie spuszczała.

Kobieta rozśmiała się pokazując, jak często u wieśniaczek bywa, dwa rzędy

ślicznych białych zębów wśród ust szerokich, otwartych od ucha do ucha.

— Ot dużo też wam przyjdzie z takiego Józwy, dużoby wam zapłacił.

— No co zapłacił, to zapłacił! to swoja rzecz! już my się tam pogodzimy!

Zgoda ta jednak nie trafiała do przekonania Michałki.

— Ot! namazaliście pewno już na niego pogański rachunek. Żyd niewzruszony odrzekł z uśmiechem.

— Na to on ma być pogański, potrzeba mu soli, przyjdzie do mnie, potrzeba mu

garstki mąki, ba! i mleka dla dzieci, przyjdzie do mnie.

— A po wódkę do was nie przyjdzie?

— Coby to była za karczma, żeby w niej wódki nie było. Dla czego ja jemu nie mam dać, dopóki wiem, że Józwę stać na zapłatę. No ale jak wy Michałowa powiadacie że nie trzeba...

— E! kto tam z wami końca dojdzie — oburknęła się kobieta. — Juści jak bieda, to

do żyda! gdzież on pójdzie, we wsi takich bogaczy nie ma, a kto ma więcej, to

chowa dla siebie, bo taki rok nastał, że kartofle ludziom pogniły i dobytek się

pomarnował i kto tam wie, jak nowego chleba doczekać.

Na ten temat zaczęły się narzekania, bo i było czego narzekać. Wieś nosiła nazwę

Niziniec i cała rozłożoną była w dolinie nad rzeczką, a że deszcze padały przez

cały rok przeszły, zboże wymokło, łąki woda zamuliła, i bieda z nędzą zapanowały, w Nizińcach. A ot i teraz ozimina stała pud wodą tak, że tylko

czubki zagonów było widać i nie zapowiadało się nic lepszego.

Było więc nad czym naradzać się w karczmie, bo chociaż z tej narady nie mogło

być pomocy żadnej, przecież jak mówiła Michałka: Błogo było chociaż uzalić się

razem. Użalali się też wszyscy, a przytem wódka krążyła gęsto, bo jak mówi

przysłowie: dobry trunek na frasunek.

Tymczasem Józwa powoli ze spuszczoną głową szedł do swojej chałupy, a im był

bliżej, tem szedł wolniej, aż wreszcie gdy już stanął na podwórku, zatrzymał się

chwilę i czekał, jakby nasłuchiwał. Koło chałupy było cicho, pies Burek leżał na

zwykłym legowisku, biedak miał boki zapadłe, widać i jemu nędza domowa dawała

się we znaki. Na widok swego pana powstał wyciągnął się, kiwnął parę razy ogonem

i zaczął się łasić, ale Józwa odepchnął go ręką i pies powrócił na swoje

legowisko. Przez okienko widać było migający ogień na kominie, a po dachu tłukły

się kłęby dymu, którym ciężar wilgotnego powietrza i wichur gwałtowny nie

pozwalają wzbić się w górę.

W chałupie także było cicho, Józwa przekonawszy się o tem wszedł do sieni.

Chlewek odgradzony na boku dla cielęcia był próżny, gęsi nie chowali, tylko parę

kur grzebało się po niej szukając ziarenka lub robaka. Więc było tu już nie tylko

cicho, ale pusto. Gospodarz obejrzał się chmurno po tej pustej sieni, zatrzymał

się i myślał, aż wreszcie zdecydował się wejść do izby.

Była to izba podobna do wszystkich innych, typowa izba chat naszych. Przy

drzwiach stały police drewniane, a na nich miski, łyżki i skromne statki

kuchenne, pod oknem ława i stół. Na środku kolebka, w której bujało się dwóch

młodszych chłopaków, w rogu łóżko, nad nim parę świętych obrazów, niedaleko od

łóżka drzwi od komory, a koło komina wielki piec czworograniasty z
szerokim
zapieckiem. Na łóżku pościel rozrzucona zachowała jeszcze ślad
kształtów ciała
kobiety, która widać spoczywała tu przed chwilą, teraz zaś blada i
chuda jak
widmo snuła się niepewnym krokiem po izbie.
Choroba podkrzażyła ciemną obwódka jej oczy, wyźłobiła policzki,
napiętnowała
cierpieniem rysy, ale nie zdo-

łała zatrzeć śladów piękności, przeciwnie nadała im delikatność,
której zapewne
dawniej nie miały. Oczy jej wydawały się większe, niż były w istocie,
a w ich
łagodnych głębiach, płonął ogień gorączki, podnosząc jasno-siwą
barwo źrenic.
Stała przy ogniu i można było sądzić, że z tego powodu na twarz jej
wybiegły
czerwone rumieńce, a usta płonęły jak żywe korale. Tylko postać
przygarbiona,
tylko smutny wyraz oczów błyszczących, świadczyły o nurtującej ją
chorobie.
Jedną ręką bladą, przewiedłą i drżącą, wyciągała ku żelaźniakowi, w
którym coś
gotowało się gwałtownie, ale tutaj zawiodły ją siły, a pot wystąpił
drobnymi
perłkami na czoło, kiedy zmęczona próżnem usiłowaniem
podniesienia ciężkiego
garnka, opadła na ławę chwytając się za piersi, które widać ból
gwałtowny
przeszywał, szepcząc zduszonym głosem.
— Nie mogę.
Przy niej stała dziewczynka może sześćioletnia, jasnooka, jasnowłosa
jak matka.

Ona to rozpałiła ogień, postawiła przy nim żelaźniak i nalała go wodą,
którą
chodziła czerpać małym garnuszkiem do wiaderka stojącego pod
policami, potem
wsypała doń kaszy i mięszala całą siłą drobnych rączek, dopiero gdy
kasza kipieć
poczęła, zawołała na ratunek matki. Ale ratunek okazał się
bezsłutecznym, i kto
wie coby się było stało z obiadem całej rodziny, gdyby Jóźwa nie
zjawił się w
samą porę na progu, i widząc co się dzieje nie odstawił kipiącego
naczynia.
— Cóż to Jagna nie widzisz, że kasza wykipi — wyrzekł gniewnie.
Być może, iż go złudziły żywe barwy jej twarzy, być może zapomniął,
że była
chora, a najprędzej przychodził zły, i jak to w takich razach bywa,
wszystko mu
służyło za powód obrazy.
Kobieta nie odrzekła nic, spuściła głowę na piersi, tylko mała
dziewczynka
czepiająca się matczynej spódnicy,

spojrzała z za jej fałdów na ojca bojaźliwie i smutno, zwyczajnie jak
dziecko,
które czuje, że ten ojciec wyrządza krzywdę jakąś i lęka się go
instynktownie.
Jóźwa usiadł chmurny na lawie z drugiej strony komina. Niby nie
patrzył na żonę,
i niewiadomo, czy w oczach jego był gniew, czy żal, czy może jedno i
drugie. W
prostych naturach żal naraz objawia się z gniewem.
Nie mówili nic do siebie, bo i cóż mówić mieli. Pomiędzy niemi stała
choroba
długa, nieubłagana, przed niemi było widmo nędzy i zniechęcenie,
które toruje

jej drogę. Przez wiele już dni zasiadali w ten sposób przy coraz
szczuplejszym
zapasie domowym.
Zraza Józwa chodził na robotę, najmował się do młocki, najmował do
siekiery, ale
jak powracał do domu, a zastawał żonę na łóżku, albo gdy słyszał jej
kaszel
ciężki, to tylko zajrzał, zatrzasnął drzwi za sobą i uciekał gdzie go
oczy
poniosły, bo miał ochotę bić ją za to, że nie była więcej tą rażną,
wesołą,
białą Jagną, za którą uganiali się parobcy. Białą ona była i dzisiaj,
tylko
stała się taka szczupła i przezroczysta, żeby ją, zda się, jak opłatek
przejrzeć
można, potem na białe jagody wystąpiły kręgi rumieńca i rumieniec
ten stawał się
coraz jaskrawszy, ale Jagna przez to zdrowszą nie była, co wieczór
trzęsła ją
febra, w nocy uderzały na nią poty, że aż koszula i poduszka były
mokre, a
codzień trudniej jej było zwlec się z łóżka i podolać robocie.
Zrazu Józwa sprowadzał lekarki, raiły różne zioła, zamawiały,
okadzały,
mruczały, aż przekonali się wszyscy, że to się na nic nie zda, i że
Jagnę chyba
Pan Bóg uleczy. Powiadano, że jej zadano urok jakiś, bo jużćić taka
młoda bez
przyczyny umrzeć nie mogła.
Józwa i Jagna nie mówili nic do siebie, bo nie byli to ludzie
wykształceni, co
to umieją zdać sobie sprawę ze swoich uczuć i myśli i ubrać je w
słowa właściwe,
czuli tylko, że im jest źle bardzo, ale na to źle nie znajdowali

wyrazów i nie szukali ich nawet. Nieraz dawniej mówili z sobą o robocie jakiej, o kupnie, o sprzedaży, o gospodarskich kłopotach, dopóki na te kłopoty była rada jaka. Kochali się bardzo, boć dla Józwy Jagna odrzuciła swaty gospodarskich synów, a on także mając chałupę i trzy morgi gruntu mógł się lepiej ożenić niż z sierotą ubogą bez ojców i wiana. Ale cóż! nie było im rażno jednemu bez drugiego, a kiedy spotkali się czy na łące u siana, czy u żniwa, czy w stodole przy maszynie, to robota tylko paliła im się w rękę i świat cały wydawał im się piękny, jak majowe słońko. Było temu lat siedm zaledwie jak się pobrali, a przez ten czas żyli z sobą uczciwie, jak Pan Bóg przykazał, i wiedzieli o tem dobrze zapewne, że jedno drugiemu jest miłe, ale właśnie że wiedzieli, mówić tego nie potrzebowali, a najprędzej choćby chcieli nawet nie umieliby uczuć swoich wypowiedzieć. Usta Jagny śmiały się do Józwy i nie odwracały nigdy od ust jego, a kiedy on na nią patrzył, to mu się oczy iskrzyły, a kiedy ją przygarnął do siebie, to o mało nie zdusił w objęciu. Więc nie potrzebowali mówić że się kochają. Może teraz wszystko to snuło się niewyraźnie po głowie i pamięci Józwy, i czuł nieskończoną tęskność do tych chwil minionych, i razem głuche uczucie wściekłości. Dla czego to wszystko się, zmieniło? dla czego świat wydawał mu się taki inny, że nie mógł sobie miejsca znaleźć? Troska, niepokój były to rzeczy nieznośne dla jego żywotnej natury i on nie wiedział nawet, że to co mu ściszało

piersi i dusiło niemal, to co go wypędzało z domu lub nasuwało ostre słowa na

usta, zwało się troską.

Cóż chcecie, był to chłop prosty, nigdy nie uczył się niczego prócz pacierza.

Zaledwie odrósłszy od ziemi, pasał gęsi, później bydło, umiał dać sobie radę ze

zwierzęciem dużo silniejszym od siebie, umiał ustrzedz się rogów buhaja, zarówno

jak mniejszym będąc syczącego dzioba

gęsi, potrafił ochronić się od napaści psa, trafić samemu w leśnych manowcach,

nie lękał się ani nocy, ani samotności, ani zwierza, ani złego człowieka, ale po

za tą, praktyczną edukacją, nie odebrał żadnej innej i stokroć prędzej umiał

rozwikłać głos pojedynczego ptaka w pośród rannych świergotów budzącej się

skrzydlatej rzeszy, niżeli uczucia powstające mu w piersi. Wszystko w nim więc

było instynktem, ani próbował, ani umiałby je określić. Nie przyszło mu do

głowy, żeby panować nad sobą. Kiedy był wesoły, to się śmiał, kiedy się złościł,

to bił, a jak wybił niesłusznie, to żałował.

Najczęściej jednak nie miał na to czasu, bo co się stało, to minęło, i nie było

do czego się wracać.

Teraz oboje z Jagną siedzieli w milczeniu naprzeciw siebie. I tylko słychać było

jak ogień syczał na kominie, lub jak w garnku wrzała i przewracała się kasza. I

jedno i drugie jednak nie myślało zapewne o jadle. On patrzył w ziemię, a ona

zasłaniała się wychudłą ręką od płomienia, tak iż kontury palców
rysowały się
rubinowo na jej tle bladawem.
Ale mała dziewczynka schowana na kolana matczyne, która nie miała
jeszcze dość
roзумu na troskę i niepokój reprezentowała w tym razie żywioł
praktyczny. Oczy
jej pożądliwie spoczywały na żelaźniaku, którego potężna ręka ojca
odsunęła
nieco od ognia i po niejakiem czasie pociągnęła Jagnę za rękaw.
— Matulu, matulu — szeptała.
Kobieta zwróciła się ku niej.
— Matulu — powtórzyła — okrasa.
Widocznie maleńka przywłaszczyła sobie jakąś władzę nad matką w
praktycznych
kwestyach życia, które pomagała jej załatwiać, bo ta powtórzyła
zcicha.
— Aha! okrasa!
Dziewczynka pobiegła, wspięła się na dzieży od chleba, dostała nóż
leżący na
półce i przyniosła go matce.

— Aha! okrasa — powtórzyła znowu półgłosem kobieta.
Powstała wreszcie ociągając się jak zwykle ci, dla których każdy ruch
jest
męczący, i szła zwolna do komory opierając się o sprzęty i ściany.
Dziewczynka biegła przed nią nie spuszczać z niej oka Nie mogła
otworzyć drzwi
od komory, ale starała je usunąć drobne przeszkody.
Jagna ukroiła mały kawałek sadła, którego zapas oszczędzała z
nadmierzajną
skrzętnością, a gdy powróciła na swoje miejsce, padła raczej niż
usiadła na
ławie.
Już mała stała przy niej z rynką, a gdy matka drżącą ręką pokrajała
sadło,

przystawiła je do ognia, gdzie niebawem skwarzyć się zaczęło wesołą
zapowiedzią
posiłku.
Dziewczynka mieszała okrasę łyżką i baczyła, by się nie przypaliła, aż
wreszcie
gdy wielkie dzieło było dokonane, zwinna i cicha jak myszka,
przyniosła wielką
glinianą misę.
Teraz trzeba było dokazać najtrudniejszej rzeczy, wylać w nią ciężki
żelaźniak
kaszy. Dawniej Jagna mogła podolać temu jedną ręką, teraz jednak
ostrożnie
zabierała się do dzieła. Sięgnęła po garczek i zatrzymała się bezsilna.
Spojrzała na męża, patrzył na nią a nie ruszył się z miejsca, jakby nie
widział,
co się przy nim działo.
Jakiś nieokreślony wyraz goryczy i smutku mignął po jej twarzy, z
przyciętą
wargą, z ciałem naprzód podanem, uczyniła wielkie wysilenie,
pochwyciła
żelaźniak obydwoma rękoma i nachyliła nad misą, która stała na
ławie, ale
utrzymać go nie była w stanie, ciężar wysunął się z jej rąk drżących na
ziemię a
padając oblał gorącym warem kolana Józwy.
Zerwał się rozjuszony bólem, podobny w tej chwili do ranionego
zwierza. Z
podniesioną ręką skoczył ku Jagnie, aż mała dziewczynka
przestraszona, zakryła
oczy i uderzyła w krzyk wielki.

Józwa zatrzymał się nagle, objął jednym spojrzeniem wpół martwą
kobietę, która
wlepiła w niego mgliste spojrzenie z rodzajem ostatecznej
obojętności, jaką daje
długa choroba, zbladł, zachwiał się i upadł przy niej na ławie, wołając.

— Oj Jagna! Jagna! Jagna!

Więcej nie umiał powiedzieć, a jednak wymownym był głos jego,
wymownym wzrok, i
nie trudno było zrozumieć wszystko, co się w tych słowach mieściło.
Znaczyło to:

Czemuż ty nie jesteś tą samą co dawniej, gdzie twoja wesołość i siła i
krasa, i

znaczyło dalej: Tyś wszystko moje na świecie i zdrowie i szczęście i
praca i

majątek; a dalej jeszcze był jakby krzyk trwogi i rozpacz: Nie
opuszczaj mnie,

bo bez ciebie nie ma dla mnie już nic na świecie.

Gdyby Józwa był wykształconym człowiekiem, byłby zapewne
wypowiedział to

wszystko bardzo pięknie, lub może nie wypowiedział, bo strach
nasunięcia

smutnych myśli żonie, zaniknąłby mu usta. Ale z pewnością te trzy
wykrzykniki

sformułowałyby się w jego głowie mniej więcej w ten sposób.

Pomimo to jednak, Jagna odczuła może wszystko, co się w nich
mieściło, bo łzy

rześiste puściły jej się z oczów, i było jej razem i smutno i błogo,
serce

ściskał jej smutek za wszystkim co minęło i strach przed tem zimnem
widmem

śmierci, które czuła w sobie i w koło siebie, a nadewszystko żal
okrutny tych

sierot maleńkich, które pójść miały na poniewierkę macochy, a żal też
i Józwy,

bo wiedziała dobrze nieboga, że on z łatwością znajdzie inną kobietę,
ale że

takiego serca jak ona, żadna mieć dla niego nie będzie. A zaś błogo
było jej dla

tego żalu, jaki teraz okazywał.

Nieraz może Jagna miała na sercu, że on z chałupy uciekał, że fukał
na nią i

choć upadała ze znużenia, on tego nie zdawał się widzieć, chociaż
czasem zno-

wu nie dał jej ręki do niczego wyciągnąć. Teraz dopiero uczuła, że wszystko to robił z wielkiego żalu, że nieraz patrzył na nią a nie widział. Kiedy opuściła żelaźniak i oparzyła go bardzo, a on nucił się ku niej, chciała lnu powiedzieć, żeby miał. z nią choć trochę cierpliwości jeszcze bo niedaleko jej było do końca, ale teraz nie byłaby wypowiedziała tego za nic w świecie, tylko zarzuciła mu ramiona na szyję i płakała jak dziecko, z twarzą gorącą przytuloną do jego piersi. I czuła jak serce jego biło mocno, gwałtownie, aż kozuch skakał od jego uderzeń.

A tymczasem mała dziewczynka patrzyła z przerażeniem na obiad ciekący gęstą, gorącą strugą na ubitej glinie, która tu za podłogę służyła. I krzyk jej zrazu głównie tyczący się matki, teraz zwrócił się do tej praktycznej przyczyny, zwłaszcza że dawno jadła śniadanie i głód jej uśpiony dotąd nadzieją rychłego posiłku, teraz zbudził się w całej mocy.

Na krzyk ten z kolebki wychyliły się dwie jasne, rozczochrane główki dziecięce, które na widok próżnego żelaźniaka i dymiącej kaszy na ziemi, zrozumiały szybko katastrofę jaka się przytrafiła i w niebogłosy zawtórowały siostrze. Józwa groźnie spojrzął na dzieci i już miał krzyknąć, żeby cicho były. kiedy gorące usta Jagny szepnęły zgodnie.

— Głodne.

Poruszyła się, chciała zebrać siły, i resztę kaszy, którą na jutro zostawiła

zgotować, ale Józwa nie dał jej się z ławy poruszyć. Skoczył sam,
nalał wody w
żelaźniak nie czekając aż go mała Zochna napelni i pytał ją o kaszę, o
sól, o
wszystko. Dorzucił dREW na ogień, potem poszedł zawołać Burka,
żeby się dar Boży
nie zmarnował, patrzył w milczeniu jak wierne psisko zlizywało
chciwie rozlane
jadło.

Uczył to wszystko kulejąc, sparzone kolano dokuczało mu coraz
bardziej,
choć na to nie chciał zwrócić uwagi.
I była cisza trochę weselsza w izbie. Dzieci uspokojone z pomocą
Zochny,
wygramoliły się z kolebki i niebawem trzy jasne, pyzate główki
otoczyły ogień i
trzy pary jasnych, pożądlivych oczek wpatrywało się z pełnym
nadziei zajęciem w
żelaźniak, w którym ponownie wrzała gotująca się kasza. Wśród nich
Burek
zlizawszy starannie ostatnie resztki znajdujące się na ziemi, położył
się pełen
zadowolenia i jak przystało staremu psu, wiernemu przyjacielowi
rodziny,
pozwolił małemu Jadamkowi targać się za uszy i położyć główkę na
szyi.
Tymczasem wiatr coraz silniej szalał na dworze a mroźna zawierucha
siekla w małe
przepalone od słońca szyby, tak że nie widać było światła bożego. W
izbie jednak
rażno płonął ogień na kominie, rozpraszał szary mrok panujący i
rzucał złudne
blaski na twarz Jagny, która siedziała pod piecem na zwykłym
miejscu. Przy niej

Zochna stojąc na ławie, pilnowała garnka z całą gorliwością, jaką przejęła ją tylko co spełniona katastrofa i świadomość, że już więcej kaszy w domu nie było.
Józwa zajmował zwykle gospodarskie miejsce z drugiej strony komina ode drzwi, chata bowiem jak zwykle chaty nasze, miała ławę pomiędzy drzwiami i kominem.
W czasie, gdy młodszy brat bawił się z Burkiem, wyciągnięty obok niego na ziemi, starszy wspiał się obok ojca naśladowując siostrę i sztukał kijkiem w ogień poprawiając go niby i udając że się tym sposobem przyczynia do zgotowania spóźnionego obiadu
Józwa spoglądał na ten obraz w milczeniu i było mu tak, jak gdyby odeszły go na raz wszystkie troski. Wieleż on razy tak zasiadał w dnie zimowe, kiedy przychodził do chaty na krótkie południe i jak dziś jadło syczało warzyło się na kominie, dzieci czekając nań, czepiały

się kolan jego, a Jagna zwijała się rażno około ogniska. Dziś wprawdzie Jagna, nic zwijała się jak dawniej. Ale przecież zdarzały się i dawniej chwile, w których i ona przysiadła a ławie, a wszystko wkoło niego tchnęło takim spokojem i ciszą, jasne główki spoglądały tak wesoło, iż, w serce jego także wstąpił spokój dawny. Przechodziło mu niewyraźnie przez głowę, że nadchodziła wiosna, że słońce zacznie dogrzewać, że świat się rozweseli i wszystko będzie dobrze, że

Jagna będzie znów- rażna, a on będzie miał dużo zarobku i wnet spłaci
wszystkie
długi. Bo długów miał teraz sporo. Winien był to jednemu to
drugiemu z
gospodarzy, to po ćwiartce grochu, to jęczmienia na kaszę, winien był
Szlamie
sklepiarzowi w miasteczku, a najgorszy był Mosiek szynkarz, ten
tyle mu
napożyczał, tyle nadawał różnych rzeczy na kredyt, że musiał z nim
zrobić układ
u wójta, jako ojcowizna przejdzie na jego własność, jeśli długu na
Święty Jan
nie spłaci.
Ale o tych długach, o tym układzie zarówno jak o chorobie żony
Józwa myśleć nie
lubił, a jak mu to wszystko Stało przed oczy, to uciekał do karczmy
i pil
dopóki mu się w myśli nic zrobiło weselej.
Teraz jednak kiedy patrzył na dzieciaki, na kobietę pod wesołym
blaskiem
płomienia, kiedy im było wszystkim ciepło i nie głodno, to i bez
wódki czuł to
wesele, które dawniej nic opuszczało go zazwyczaj i sprawiało, że był
najraźniejszym parobkiem ze wsi całej, pierwszym do tańca,
pierwszym do roboty i
pierwszym do bójki, jeśli go kto zaczepił.
Tymczasem kasza się dogotowała i szczęśliwie na wielką miskę
wylaną została, a
woń starego sadła równie miła dla głodnych podniebień jak woń
Roqueforta lub
Strachina dla smakoszków wraz z kłębami pary rozniosła się po izbie.
Dzieci z radości aż krzyczeć zaczęły i uderzały drewnianymi łyżkami,
którymi
Zochna uzbroiła ich zawczasu,

o ławkę, tworząc tym sposobem rodzaj wesołej pobudki.

Józwa kulejąc, bo mu sparzona noga dokuczała, przysiadł się do żony,
postawił
miskę na ławie pomiędzy nią a sobą, a dzieci okrążyły ją wieńcem i
chciwie
zajadać zaczęły,
Józwa nie mniej od nich był głodny i on także zaczerpnął kaszy i
poniósł ją do
ust, ale czyniąc to oglądał się na Jagnę.
Ona trzymała łyżkę w ręku, przecież nie musiało być jej pilno do
jadła, bo łyżka
drżała jej w dłoni.
— No, czemuż nie jesz? — zawołał mąż.
Chciała mu być posłuszną, ale nie była w stanie, czuła się niedobrze,
w głowie
jej się kręciło i coś dusiło w piersiach. Zaledwie spróbowała przełknąć
kaszę,
zakaszła się ciężko, gwałtownie.
Józwa położył łyżkę, nie miał on wcale rozstrojonych nerwów, a
przecież od
bardzo dawna kaszel ten brzmiał mu w uszach jak zmora, słyszał go
przez sen i
słyszał na jawie i słyszał nawet przy robocie, kiedy był daleko od
Jagny.
Położył łyżkę w milczeniu i patrzył chmurno na dzieci, które
zwyczajnie jak
dzieci nie zwracały na to żadnej uwagi, tak że w izbie słychać było
tylko
straszny kaszel suchotnicy i wesołe, rytmiczne uderzenia trzech łyżek
o miskę,
ani na chwilę nie wolniejące.
A Jagna kaszłała i kaszłała, jak gdyby dusza wyrywała się jej z piersi.
Dusiła
się i wiła na ławie i zakryła twarz rękami, a pot lal jej się z czoła.
Józwa nie mógł wytrzymać, wrzała w nim znowu; głucha wściekłość,
zerwał się z
ławy, chciał uciec, żeby nie słyszeć więcej tego kaszlu, ledwie się
powstrzymał,

żeby nie bić dzieci, które nie rozumiejąc jego znaczenia, zajały
dalej, ale
przechodząc koło Burka, który drzemał spokojnie wyciągnięty w
cieple
przygaszającego ognia.

przynajmniej na niego złość swoją wywarł, kopnął go z całych sił a
gdy biedne
psisko zaskowyczało z bólu, zdawało mu się to ulgą, że kaszel Jagny
choć na
chwilę zgłuszony został innym głosem.

Wybiegł z izby jak szalony, nie poszedł jednak daleko chociaż
zdawało mu się
ciągle, że słyszy go w powietrzu w zawierusze śnieżnej i w
poświstach wiatru, bo
kolano sparzone dokuczało mu tak bardzo, że zatrzymał się nagle
klnąc
straszliwie.

Przez chwilę stał oparty o słup płotu, zmożony nowem dla siebie
uczuciem
fizycznego bólu. Józwa bowiem miał jedną z tych żelaznych natur,
jakie trafiają
się często pomiędzy wieśniakami naszymi, chorobę znał jedynie z
nazwiska. To też
cierpienie zarówno fizyczne jak moralne, było mu nieznośne i
doprowadzało niemal
do szału.

Stał tak czas jakiś przy drodze, bo ruszyć się było mu coraz trudniej,
zimno
przejmujące powiększało ból jego, a do chaty nie chciał powrócić za
nic w
świecie. Gdyby tak było bliżej do karczmy, byłby się tam dowlóknął z
pewnością.

Ale karczma jak raz stała na drugim końcu wsi.

Patrzył więc bezmyślnie na błotnistą drogę, kiedy ujrzał zbliżającą się

Michałkę.

— A kogóż to wypatrujecie — zawoła zdaleka, widząc go nieruchomym.

Nie odbierając odpowiedzi, podeszła ku niemu.

— No cóż u was słyhać — spytała głos zniżając — bo wiedziała ona dobrze, że

Jagnie niewiele się należy, i że lada dzień przyjdzie na nią koniec, więc

przestraszyła się, czy nie była to już ostatnia godzina.

— A co ma być — mruknął — jedno i jedno, że czasem przychodzi mi na myśl uciec

gdzie mnie oczy poniosą, albo obwiesić się na pierwszej gałęzi.

Michałka

popatrzyła na niego.

— Ha! trudno kumie — wyrzekła — woła Boska, trzeba się z nią pogodzić.

Ale ta pobożna pociecha, nie trafiła do rozżalonego serca Józwy.

Wola Boska

zdawała mu się zapewne okrutną.

— Nieboszczka pani — mówiła dalej kobieta — miała jakieś ziółka od kaszlu....

I zaczęła niezmiernie długą i bezładną historię rozmaitych kaszłów, które temi

ziólkami wyleczone zostały. Choćby jednak te ziółka posiadały moc cudowną,

niepodobna ich było dostać z powodu, że przepis zaginął razem ze śmiercią

właścicielki, która to śmierć przed kilku laty nastąpiła. Michałka zrozumiała

wreszcie bezskuteczność swojej rady. Chciała jednak szczerze przyjść w

czemkolwiek w pomoc Józwie i dla tego mówiła dalej.

— "Wstąpię do Jagny, może jej czego potrzeba.

— Idźcie — odparł przez zaciśnięte zęby. Peszła, ale oglądała się za nim.

— A czegoż wy tu stoicie — spytała znowu.
Nie było w jego naturze wywnętrzać się, a zresztą choćby i chciał,
zapewne nie
byłby potrafił tego uczynić. Nie odpowiedział nic. Po chwili jednak
zawrócił się
i powlókł on także do chaty.
Jagna blada jak chusta leżała na łóżku, krew rzuciła jej się ustami, a
teraz
była jakby nieżywa. Dzieci zbite w gromadkę spoglądały na nią z
przerażeniem.
Michałka krzątała się koło chorej kiwając głową i zawodząc.
— Już tobie nic nie pomoże niebożatko, już tobie się do śmierci
gotować, a co
będzie z temi sierotami. Oj biedniście wy Józwo, biedni! Ktoby się
mógł
spodziewać, kobieta młoda, kieby róża, a dziś co?
Nie był to z pewnością sposób właściwy zachowania się przy chorej.
Ale pomiędzy
wiejskim ludem, rzeczy nazywają się po imienin, nikt przed
rzeczywistością oczów
nie zamyka, ani stara się ją drugim zasłonić, brak na to miejsca i
czasu.
Gadatliwa kobieta mówiła, co czuła, nie bacząc, jakie wrażenie na
chorej zrobić
może.

Jagna też nie była zdenerwowaną kobietą, która patrzy na wypadki
przez pryzmat
złudzeń. Od dzieciństwa przywykła widzieć nieraz śmierć i chorobę i
wiedziała,
jakie ich jest znaczenie.
Słuchała w milczeniu głośnych żalów Michałki, a wzrok jej smutny i
zamglony
spoczywał na dzieciach. Żal jej może było lat młodych, życia, jasnego
słonka i

wszystkiego co drga i kwitnie na powierzchni ziemi, a kto wie, może było żal i

pracy i troski nawet, żal jej było serdeczny Józwy, ale najwięcej żal dzieci.

Wiedziała ona, że Józwa bez gospodyni w chacie nie zostanie, wiedziała, że

miejsce jej w tym domu zajmie inna kobieta i wiedziała, że macocha zawsze twardą

jest dla pasierbów. Może i nie dziwiła się temu. W chacie bywa różnie i chłodno

i głodno, a matce przecież najwięcej chodzi o własne dziecko.

Ale wiedziała także, że co ma być, to być musi koniecznie i nie próbowała

walczyć z niepodobieństwem.

Nię wiadomo jak długo Michałka byłaby swoje żale ciągnęła, kiedy nagle wzrok jej

padł na Józwę, który szedł kulejąc i opierając się o ściany.

— A wam co takiego? — zapytała nagle.

— A co ma być, sparzyłem se nogę — wyrzekł niemal z jękiem siadając na lawie, bo

kolano mu tak zeszywniało, że go już zupełnie zgiąć nie mógł.

Michałka ciekawa, jak to zwykle kobieta, a może powodowana dobrem sercem

poskoczyła ku niemu i odkryła sparzone miejsce, wielkie jako dwie dłonie,

czerwone jak krew, i okryte wzdętym naskórkiem, który już gdzieś

niegdzie w strup

się zamienił.

— O Jezu! — zawołała — a toć potrwa ze dwa tygodnie, zanim się z

tego wyliżecie.

A kto teraz co zrobi wedle gospodarstwa.

Ha! — odparł filozoficznie Józwa — dobytek djabli wzięli, to i lepiej, nie ma z

nim kłopotu.

Ale sąsiadka nie mogła podzielać tego optymistycznego zapatrywania się na rzeczy. Spójrzała na niego wymownymi oczyma.
— At! — wyrzekła — nie pletlibyście. A kto drew narąbie, wody przyniesie i dzieci ogarnie. A co im jeść dacie, jak nie zarobicie. Moszek powiedział, że wam już na kredyt nic nie da.
Józwa miał ochotę powiedzieć, że mu to już wszystko jedno. Ale spojrzał na bladą twarz Jagny, i na te trzy małe postacie, które tuliły się w rogu komina jedną do drugiej. W głowie zaczynało mu się mącić. Czuł, że spadał w jakąś otchłań, z której nie widział ratunku.
— Ha! — szepnął spuszcżając głowę, ale jaż zupełnie bez tej podrobionej fantazyi, z którą wypowiedział ten sam wykrzyknik, gdy szło o dobytek.
Michałka jednak nie była z tych zwawych i stanowczych natur, co to potrafią dać jaką radę w nieszczęściu. Nalamentowała się nad nim i nad Jagną, nad biedą ogólną i nad ich biedą, i odeszła przypomniawszy sobie własne gospodarstwo.
Od tego dnia zaczęły się prawdziwe dnie rozpaczony w chacie Józwy. Jagna dogorywała widocznie, nie mogąc już zwlec się z pościeli, a on sam dla ciężko zaognionej rany, ledwo mógł parę kroków postąpić. Czasem litościwa dusza zabiegła, ogarnęła dzieci, przyniosła wody, roznieciła ognia, ale przy ogniu nie było co ugotować, chyba, że kto przyniósł kapkę mleka dla chorej, lub garść mąki dla dzieci. Józwa wpadł w rodzaj odrętwienia, i po całych dniach siedział na

ławie ponury i milczący z wyciągniętą nogą, jakby czekał na coś, i nie można było z niego słowa wydobyć. Oczy świeciły mu się, jak u wilka. Parę razy próbował pójść do karczmy, ale nie mógł, nieopatrywana rana zaogniła się i sprawiała mu ból piekielny.

Aż wreszcie któregoś wieczora, gdy Jagna nic kaszlała już od bardzo dawna i nic otwierała oczów, Zochna uderzyła w krzyk, że matka się nie rusza i zimna jak lód. Wówczas z wielkim wysileniem zbliżył się do łóżka spojrzął, dotknął martwej ręki Jagny, zatoczył się jak pijany, chociaż od wczoraj czystą wodę miał tylko w ustach, wziął się oburącz za głowę, ryknął wielkim głosem, aż się ściany zatrzęsły, i chwiejąc się, ślaniając, szedł ku drzwiom. Pchnął je zostawił na oścież otwarte minął żałośnie wyjącego Burka i szedł, gdzie go oczy poniosą. W tej chwili nie czuł nawet fizycznego bólu. Gnała go jakaś moc straszna od tego obrazu umarłej żony i wynędzniałych dzieci, którym żadnej pomocy dać nie umiał. Siłą dawnego nałogu doszedł do karczmy, ale tak strasznie wyglądał, że aż ludzie rozstąpili się przed nim. — Wódki — zawoła! ochrypłym głosem — półkwaterek wódki a mocnej. Fejga, która sama stała za szynkwasem, ociągała się z jej nalaniem, słyszała od ojca, że już Józwie kredytować nie można, a on nie kładł pieniędzy. — Wódki — powtórzył grzmiącym głosem, patrząc na żydówkę, jakby ją chciał zdusić.

A domyśliwszy się o co jej chodzi, rzucił z przekleństwem czapkę za szynkwas i domagał się, by mu zakredytowała na ten fant. Fejga przestraszona przestała się ociagać. On pochwycił półkwiterek, wychylił go jednym tchem, i zatoczył się jeszcze mocniej. Józwa miał silną głowę, a półkwiterek stanowił małą ilość wódki w porównaniu z tem, co mógł wypić, nie tracąc wcale przytomności. Przecież bądź to z powodu, że nic nie jadł od wczoraj, bądź stanu psychicznego, w jakim się znajdował, ta mała a ilość rozmarzyła go zupełnie. Zatracił uczucie rzeczywistości, przychodziła mu tylko dzika chęć otrząśnięcia się z jakiejś zmory, która go dusiła. Miał coraz wyraź-

niejsze poczucie, że zostawił za sobą coś okropnego, coś, co ścigało go trop w trop, a przed czem chciał uciec koniecznie. W głębi piersi odzywały mu się jakieś głosy żalości niezmiernej, a on głosy te chciał zagłuszyć. I zaczął ochryłym tonem śpiewać jakąś piosnkę pijacką, ale wątku jej uchwycić nie mógł, rwała mu się, więzła w gardle, tylko pojedyncze sylaby wychodziły urwane z ust jego. Ludzie widząc to, śmiać się zaczęli, i śmiali się coraz głośniejszymi głosami, wołając, że się Józwa upił półkwatkiem. Śmiech ten prześladował go, nie mógł sobie miejsca znaleźć, ściagała go przytem myśl, że ma coś bardzo ważnego do zrobienia. Palila go gorączka, czuł w ranie

ból dojmujący. Szukał machinalnie czapki, nie znalazł i z gołą głową wyszedł na powietrze.

Wieczór zapadał, cichy wieczór wiosenny, splakany, blady i łagodny już, jak

zapowiedź lata. Przez cały dzień deszcz padał, około zachodu słońca dopiero

wypogadzać się zaczęło. Ale niebo jeszcze czystem nie było, lekkie, przezroczyste chmury snuły się po niem i osiadły wieńcem ciemnym nad daleką

girlandą borów, które zamykały widnokrąg.

Ostatnie konające promienie zachodu łamały się w górnych warstwach powietrza, i

rumieniły swą purpurą obłoki w tej stronie nieba, a gdzie nigdzie po za

przezroczystą, zasłoną chmur zapalała się blada gwiazda, migiała i gasła

przyćmiona. Wśród ciszy zapadającej nocy, odzywał się z wyżyn donośny klekot

bociana, wesoła zapowiedź wiosny. Powietrze jeszcze bardziej rozmarzyło Józwe.

Szedł kulejąc i utykając po rozmokłej ziemi, wiatr wieczorny chłodził mu

rozgorzałe czoło, i odurzał wiosennymi Woniami.

Nagle uderzył ucho jego dźwięk kościelnego dzwonka, który odzywał się spóźniony

wzywając na Anioł pański. Zatrzymał się. Przez łatwe do zrozumienia kojarzę-

nie myśli, dzwon kościelny przypomniawszy mu śmierć. I zobaczył, jakby w

błyskawicznym widzeniu Jagnę swoją bladą zimną. Trzeba mu było dać na podzwonne,

zając się pochówkiem. To wszystko kosztowało pieniądze, duże pieniądze, a on nie

miał ani grosza przy duszy, ani tego grosza z kądem dostać.

Ale te straszne myśli podobne były do gwiazd owych, które co chwila zasnuwały
chmury, prześwitywały mu one w głowie i rozpraszały się pod
tchnieniem gorączki
i szału, jakie nim rządziły. Zostało mu tylko wyraźne pojęcie że ma
iść rozmówić
się z proboszczem i dziadkiem kościelnym, żeby za zmarłą zadzwonił.
Szedł więc, jak mógł wspierając się na kiju.
Droga ze wsi do kościoła i plebanii prowadziła koło dwora a nawet
przez gumna
była bliższa ścieżka.
Na dziedzińcu folwarcznym, panował nich niezwykle. Jakieś
powozy stały przed
stajnią, a z nich wyprzęgano konie. Była to rzecz nadzwyczajna, bo od
śmierci
właścicielki dwór stał opustoszały. Rządca tylko zajmował w nim parę
pokoików.
Był to stary kawaler, gości nie miewał, a jeśli kto do niego przyjechał,
to
bryczką. Powozów więc od dawna nikt tu nie widział.
Wprawdzie nieboszczka miała syna jedynaka, który teraz musiał już:
mieć lat
dwadzieścia z górą, ale ten uczył się gdzieś za granicą i do wsi nie
zaglądał.
Zapomniano nawet o jego istnieniu. Bo co tam kogo obchodziło, kto
siedział we
dworze. Dwór nie mieszał się do wsi, a wieś nie miała nic z dworem
wspólnego.
Jak była robota, gospodarze i zagrodnicy umawiali się o najem i
zapłatę brali,
jak potrzeba było co kupić — płacili, a jak zrobili szkodę jaką — szli
do sądu.
Za nieboszczki pani było inaczej, ona miała zawsze proszki od febry,
ziółka od
kaszlu, krople od boleści i dawała je potrzebującym. A przytem znała
wszystkich
ludzi we wsi z imienia i z nazwiska, znała ich stosunki i położenie. To
też

ludzie szli do niej

nieraz po radę, a ona radziła dobrze i nikomu złego słowa nie powiedziała.

Józwa przypominał sobie to wszystko przechodząc przez, dziedziniec, bo dwór cały

był oświecony, jak to dawniej za nieboszczki pani bywało, kiedy zjechali się goście.

Widocznie i teraz ktoś do dworu przyjechał, bo nietylko jasno było we wszystkich

oknach, ale jakieś postacie snuły się po pokojach zamkniętych od lat tyłu i

służba się kręciła i w kuchni płonął ogień i widać było uwijających się kucharzy

w białych fartuchach.

Rądle błyszcząły jak złoto i buchały parą, na stole stały kopiaste półmiski

mąki, jaj, masła, mnóstwo zabitego drobiu, słowem tyle jedzenia, żeby niem całą

zgodzoną wieś nakarmić można, a smaczne wonie mięsa i ciast wносиły się w

powietrzu i drażniły Józwę, który przez cały dzień nic w ustach nie miał.

I przyszło mu na myśl, jak to niektórzy ludzie używają i mają wszystko, co im

się tylko zażąda, gdy tymczasem inni....

Ludzie opowiadali, że przyjechał pan z młodą panią, z którą się tylko co ożenił,

że. odprowadzali ich krewni i przyjaciele.

Józwa słuchał tego wszystkiego jednym uchem. Ale co go tam obchodziło cudze

szczęście, on patrzył na stos desek ułożony w trójkąt i suszący się przed

stodołami i myślał, że właśnie z takich desek zbiłby trumnę dla umarłej.

Zatrzymał się patrząc na nie z pożądliwością i myślał, jakimby sposobem z tego wielkiego stosu, który mókł na deszczu, suszył się na mrozie i słońcu, dostać niewiele, jedną lub dwie tylko, na ostatni domek dla swojej Jagny. Józwa złodziejem nie był, a myśli jego zmacone i rozszalałe szły utartym gościńcem nawyknięcia. Trzeba mu było posić o nie rządcę, zapewne dałby mu na odrobek,

znali go przecież wszyscy, znał i rządca, wiedział, że do boty był pilny, chociaż teraz... teraz... Na razie Józwa je mógł sobie przypomnieć, dla czego teraz do roboty chodzić przestał. Szedł prosto do rządcy. Ale drzwi jego były zamknięte. Nie pytał nikogo gdzieby był, tylko stał u drzwi i czekał, jak człowiek do czekania nawykły. Zresztą on teraz nie bardzo wiedział sam, co robił. Dziewka, która przebiegała tamtędy, zatrzymała się. — Czego to chcecie? — spytała. Nie poznała go, bo było ciemno, a przytem Józwa w tej chwili nie był do samego siebie podobny. A zamiast opowiedzieć wyraźnie swoje nieszczęście, wybelkotał tylko. — Pan rządca. — Oho! przyjdźcie jutro, pan rządca we dworze, przyjechali młodzi państwo. I poszła dalej. Józwa zrozumiał, że rządca był tam, gdzie płonęły wszystkie okna, gdzie był ruch i gwar, i bez namysłu żadnego szukać go poszedł, to o co chciał prosić, nie

cierpiało żadnej zwłoki.

Przechodni około oświetlonych okien, dążąc do głównej sieni, której drzwi stały

otworem. Pod oknami cisnęli się ludzie, zwłaszcza ciekawe dziewczęta i chłopaki,

bo we dworze było wesoło i pełno państwa, a nikt im tego nie bronił, nikt nie

spuszczał stor zazdrosnych.

Dwór wyglądał patryarchalnie, roztaczał dwa skrzydła, niby ramiona, jakby niemi

chciał ogarnąć wioskę, która leżała opodal, i zdawało się, że jego zczerniałe

ściany radują się do młodego szczęścia, które w nim osiadało, taki był strojny i

święteczny.

Nowo zaślubiona para snuła się wśród gości, i można ją było poznać łatwo po

promiennem obliczu, po szczebiocie częścią, a nadewszystko po tem, że była

zawsze nierozłączna.

— Patrzta, to młoda pani — szepnęła jedna z dziewcząt, trącając łokciem

sąsiadkę, bo już widać zasięgnęła gdzieś tej ważnej wiadomości.

— Oj śliczna, kiej obrazek — odparła druga.

Józwa spojrział machinalnie.

Młoda kobieta w jasnej sukni przesuwała się właśnie koło okna, przy którym

stanął. Była ona tak biała, że aż luna bila od jej czoła, od skroni o perłowych

odblaskach, od włosów, które na kształt płynnego złota zwieszały się nad czołem

i spadły w kilku puklach na śnieżne ramiona. A oczy miała tak pełne słodczy, że

spojrzenie ich szło do głębi serca i niosło tam spokój i wesele.

Józwa rzucił na nią wzrok i oniemiał, tak mu się zdała dziwnie do
Jagny podobną,
nic do tej co teraz leżała martwa, zimna, wynędzniała, ale do tej, jaką
była,
kiedy on ją wprowadził do swojej chaty.
Zapewne tak mu się tylko zdawało, bo zkadże znów taka pani miała
być do prostej
dziewki podobną.
I nagle zrobiło mu się tak dziwnie i tak żałośnie, że o mało nie padł na
kolana
i nie ryknął płaczem wielkim na nowo nad wszystkim, co utracił.
Młoda pani tymczasem nic domyśliła się uczynionego wrażenia,
zresztą nie
widziała zapewne wyraźnie ludzi zebranych pod oknami, bo ona była
w świetle, oni
w cieniu, a choćby i widziała, cóż ją ci ludzie obchodzić mogli.
Oglądała się za mężem, a on też tuż zaraz stał za nią. W tej framudze
okna po za
firanką byli jakby sami. On otoczył ramieniem jej kibić, ona głowę
skłoniła ku
niemu i tak pozostali chwilę w niemym uścisku.
Zdawało się Józwie, że serce bijące pierś mu rozsadzi. Tam ludzie byli
szczęśliwi, tacy szczęśliwi, że im chyba ptasiego mleka brakło na
ziemi, a on? a
on?
Tymczasem mąż mówił do żony.
— Patrz ukochana, to moja wioska, to dom, w którym urodziłem się,
gdzie pełzałem
będąc maleńkim, tu o-

gród gdzie harcowałem na drewnianym koniku. A tam patrz
wieżyczka kościelna, tam
leżą prochy ojców moich. Zdaie mi się, że te miejsca posiadały część
mojej duszy,
że nigdziebym nie mógł być tak szczęśliwym, jak tutaj.

Ale ona uśmiechnęła się niedowierzająco, jakby chciała zapytać, czy nie starczyłaby mu za wszystko. On to zrozumiał. Zcałował jej z ust ten uśmiech i mówił dalej.

— Ty jesteś moim aniołem, ale ty będziesz także aniołem Niziniec. Przejeżdżając widziałem podupadłe chaty z których wyzierała nędza, wypowiemy jej wojnę — nieprawdaż?

— Wypowiemy wojnę — powtórzyła słodko zapatrzona w jego oblicze.

— Matka moja zostawiła tutaj błogosławioną pamięć, ciebie tak samo błogosławić powinni.

— A ciebie Adamie? — spytała.

— Ja pracować bodę nad wzrostem dobrobytu, ty krzewić bodziesz oświatę, ty będziesz pocieszać i wspierać.

— Boże! — zawołała — jestem tak szczęśliwą, ja chciałabym, żeby wszyscy równie szczęśliwymi byli.

Mówili to z głębi serca oboje, mówił z przekonaniem, nie domyślając się tej rozpacz, która targała człowiekiem o parę kroków od nich. Zkądże tego domyśleć się mogli, w sercach ich odzywały się rozkoszne chóry, które tłumiły wszystkie inne głosy. Oni byli dobrzy, szlachetni, mieli najlepsze chęci, tylko teraz widzieli na całym świecie siebie i tylko siebie.

Gdyby Józwa był w stanie słyszeć i rozumieć cokolwiek, zapewne byłyby doszły do niego wyrazy, jakie zamienili, i byłby zawołał do nich wielkim głosem, że on był właśnie tym, co potrzebuje wsparcia i pociechy. Ale chociaż dochodził go dźwięk ich słów, chociaż mówili po polsku była to mowa wyszukana i niezrozumiała dla

niego nawet w zwyczajnych chwilach życia a cóż dopiero teraz.

On głodny, widział tu tylko dwoje sytych, on nędzny, dwoje opływających w dostatki, on w rozpaczy, dwoje szczęśliwych. Nie wiedział nic o ich dobrych chęciach, bo tu zresztą dobre chęci były niewystarczające, tu trzeba było natychmiastowego czynu. I zamiast odezwać się choćby tylko jękiem, odszedł zwolna znękany i ponury, bo to szczęście i ta miłość budziły w nim dzikie uczucia. Cierpiał tak bardzo, iż zaczynał pragnąć, by wszyscy cierpieli koło niego.

A oni oboje zapatrzyli się w gwiazdy i marzyli może o sobie, może o wszystkim co uczynić chcieli i nie spostrzegli tej wielkiej nędzy, która się koło nich przesunęła milcząca, nie wiedzieli jeszcze oboje, że najcięższa właśnie taką bywa, nie wiedzieli, że ona ogłupia, nie wiedzieli, że demoralizuje i nieraz zamienia ludzi w dzikie zwierzęta.

Józwa próbował odejść, instynkt jakiś ostrzegał go. że wśród tych szczęśliwych, tych rozradowanych nie mógł znaleźć chwili posłuchania, ale gdzież miał iść? przecież musiał wyprosić sobie choć deski na trumnę, a potem na samą myśl powrotu do chałupy, gdzie miał znaleźć trupa żony i głodne dzieci, robił) mu się zimno. I znowu szedł szukać rządcy omijając zdaleka oświecone okna, jakby lękał się w nich zobaczyć tej ślicznej białej pani, której sam widok krwawił mu serce

i przyprawiał o szaleństwo.

Ha! przecież mógł dostać się do rządcy, poprosić kogo przynajmniej, żeby go

wywołał. Z tą myślą szedł do sieni, już miał do niej wchodzić, kiedy usłyszał

ostry głos pytający:

— A to gdzie? A to czego?

Podniósł głowę i spojrział. Ten co wypowiedział te słowa stał we drzwiach z

zuchwałą miną i nie myślał go przepuścić. Z ubrania wyglądał na pana, miał

cienkie ubranie, cienkie baty, cienką bieliznę.

Józwa próbował mu się pokłonić, o ile mu na to pozwalała rana, która teraz rwała

go i paliła jak ogień.

— Ja! ja do rządcy — odparł bełkocąc, bo język odmawiał mu posłuszeństwa i tyle rzeczy mąciło mu się po głowie że już sam nie wiedział, co ma powiedzieć.

Ale ów pan, który był tylko Pawłem lokajem młodych państwa, zmierzył go od stóp do głów i wyszedł.

— Ruszaj w swoją stronę, to nie tutaj.

A widząc, że Józwa nie odpowiada i nie rusza się z miejsca, dodał:

— Powiedziałem już, że nie tutaj.

I zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

Dziwić mu się nie było można. Józwa był bez czapki, miał wzrok płonący, obłąkany

i czuć go było wódką. Wyglądał co najmniej na pijaka. Żebyć był jeszcze

wytłumaczył, o co mu idzie. Ale on tego uczynić nie był w stanie. On nie zdawał

sobie sprawy ani z położenia, ani z własnej postawy, a miał przytem ten rodzaj

uporu czy myśli stałej, będącej znamięm niektórych podnieconych stanów.

Stał chwilę przed zamkniętymi drzwiami z pozoru pokorny, potem przypomniał sobie

nagle, że potrzebował widzieć rządcę i że rządcą znajduje się u dziedzica.

Zbliżył się znowu do drzwi i nacisnął klamkę.

I Paweł zjawił się jak raz na progu.

— Mówiłem już, że nie tutaj — krzyknął groźnie. — A to skaranie boskie z temi pijakami.

Widząc, że Józwa nie odchodzi, zawołał stróża Jakóba i kazał mu wyprowadzić

pijaka za bramę.

Jakób znał Józwę, ale spojrzawszy na niego nie wątpił, że był istotnie pijany.

Pytał go się czego chciał, Józwa przecież nic więcej powiedzieć nie był w stanie

nad to, że chce widzieć się z rządcą. Jak to często się zdarza w podobnym stanie

umysłu, ta jedna myśl pozostała mu wyraźna i uparta.

— Dobrze, dobrze, zobaczycie się jutro — perswadował mu odprowadzając

szamoczącego się za bramę.

Józwa był tak osłabiony, że pokonać go nie było trudno. Nie odstąpił jednak od

swego zamiaru, tkwiło w nim poczucie konieczności ciężącej nad nim, i to

konieczności nie cierpiącej zwłoki. Jednak pojęcia jego były tak zmaćone, że

gdyby nawet w tej chwili zobaczył rządcę, nie wiedziałby prawdopodobnie, czego

od niego żądać. Środek stał się w jego myśli celem i pochłonał wszystkie

rozpierzchłe idee, jakie tłukły mu się po głowie, niepowiązane żadną logiczną

nicją, na kształt kilku oderwanych ziarn w pustym naczyniu.

— Ja muszę widzieć się z rządcą — bełkotał niewyraźnie, powtarzając swoje z

uporem.

Ale stróż nie zważał na to, a choćby i zważał nie byłby w stanie zrozumieć.

Dodał więc kilka dobrych rad, jako to, by poszedł spać do chałupy, — i powrócił

czemprędzej do kuchni, gdzie miał pilną robotę.

Józwa czas jakiś stał przy bramie oparty o płot, spoglądając w gorejące okna,

jakby się od nich nie mógł oderwać, płomień wywierał na nim atrakcję dziwną,

może odrywał uczucie od tych ciemności, które zalegały jego duszę.

A kiedy

odwrócił głowę — widział wszędzie płomienie biegające przed oczyma, wśród

wirujących przedmiotów.

Trwało to jakiś czas. Potem nagle powróciło mu do pamięci jakieś niewyraźne

poczucie rzeczywistości i chromiąc coraz bardziej szedł znowu szukać rządcy.

Pamiętał jednak, że go odprawiono raz i drugi i instynktownie szukał drogi

innej, obszedł dziedziniec trzymając się płota i znalazł się znowu na gumnie.

Tam w pośród budynków wznosiła się czarna, trójkątna piramida z suszących się

desek.

Spojrzał na nią i na raz stanęła mu w oczach śmierć żony, pogrzeb, trumna,

Uderzył się dłonią w czoło, jak człowiek budzący się z majaczeń snu do strasznej

rzeczywistości.

— Aha! — szepnął sam do siebie — trza prosić o deski.
Teraz już wiedział po co idzie, ale noga zmordowana odmawiała mu posłuszeństwa,
a każde stąpienie było dla niego taką męką, że zaledwie mógł się posuwać zgięty
we dwoje, opierając się z całych sił na kiju.
Teraz gdyby go zapytali, czemu szuka rządcy, miał odpowiedź gotową, mógł ją
każdemu powierzyć, był przekonany, że mu nie odmówią. Rządca był człowiekiem
ludzkim, a gdyby nim nie był nawet, toć są położenia, które muszą litość obudzić
i w najgorszym.
Być może, iż Józwa nie rozumował w ten sposób. On tylko czuł, że w obec ogromu
nieszczęścia, jakie go dotykało, żądał tak mało, tak niezmiernie mało od tych
bogatyń i szczęśliwych, iż nie pojmował, by nie uczyniono zadość jego żądaniu.
I znowu zjawił się przy dworze, znowu uiał za klamko i stanął we drzwiach
oświeconej sieni.
Ale teraz cierpliwość pana Pawła była wyczerpaną.
Widząc znowu tego człowieka, którego już po dwakroć odprawił daremnie, którego
kazał wyprowadzić za bramę, a który wybladły, zgarbiony, z włosiem rozwianym
zbliżał się po raz trzeci, — wpadł w gniew wielki i nie zadając żadnych pytań,
nie czekając tłumaczeń, wziął go za kark zanim Józwa spostrzegł, co zamierzał.
Józwa był to chłop silny i w każdym innym razie byłby się oparł napaści, a
przynajmniej nie pozwolił się krzywdzić. Ale teraz tak był osłabiony, że zmódz
go nie było trudno. I zanim się obejrzał leżał daleko na folwarcznym dziedzińcu,

o parę kroków od tej czarnej piramidy, co wznosiła się nad nim niby
olbrzym
potworny, w kałuży, której jakby na urągowisko odbijały się gwiazdy
niebieskie i
srebrno-krwawy sierp miesiącu, zawieszony nad borami.
Przez chwilę Józwa leżał w kałuży oszołomiony u-

padkiem i wściekłym bólem, jakiego w chorej nodze doznawał.
Padając uderzył raną
o kamień i czuł w niej jakby ostrze noża i ogień płomienia.
Nie krzyczał, bo do tego nie nawykł, tylko zęby zacisnął, krew
uderzyła mu do
głowy, szumiała w uszach, pulsowała w skroniach, i czerwoną falą
zalewała
źrenice. A wszystkie bezwiedne uczucia, które burzyły się w nim
przez ten
wieczór, cały żal i rozpacz i cierpienie zmieniły się pod naciskiem
fizycznego
ból — w niewypowiedzianą wściekłość.
Teraz gotów był jak zwierzę gryźć i szarpać tych wszystkich, coby się
do niego
zbliżyli. Błysk przytomności, jaki miał dotąd, przeminął, a natomiast
ogarnęło
go poczucie krzywd wyrządzonych. Nieszczęście stopiło się z obrazą,
los i ludzie
zdawali mu się zarówno winowajcami, a on zapragnął pomsty jakiej,
pomsty
natychmiastowej, i zaczął szarpać na sobie odzienie, szukając noża,
którymby
mógł ugodzić pierwszego, co mu się na oczy nawinie. W podobnych
chwilach ludzie
zamieniają się w zbrodniarzy.
Noża nie znalazł, a zresztą na cóż by mu się on przydał, na kogóżby
się rzucił,
osłabiony, zbolały, na pół żywy. Ręce jego drżały, członki odmawiały

posłuszeństwa. Ale zamiast noża miał w kieszeni krzesiwo i linijkę, a
gdy je
poczuł pod palcami, zaśmiał się głupio, przeciągle. Zemsta jego miała
cel
wyraźny, teraz już wiedział, czego chciał, co miał robić.
Powoli wydostał się z kałuży i przycisnął bliżej do piramidy desek.
Schły one od
dawna, żywica wystąpiła na nich drobnymi perełkami i czuł jak pod
palcami
stawały się lepkie od ciepłoty ciała.
Ludzie coraz rzadziej snuli się po dziedzińcu. Zamknięto wreszcie
bramę, a
wkrótce dziedziniec zaległa cisza. Józwy nikt nie widział, osłaniał go
cień
zupełny, i chyba kto przechodząc zblizka byłby mógł dostrzedz

źrenice jego wściekle i rozgorzałe, świecące jak oczy wilka w
ciemności. Teraz
nie myślał on już o niczem, czekał... Gdy zrobiło się zupełnie cicho,
przypełzał
przed stajnię, tam leżało pełno słomy rozrzuconej, zagarnął jej pęk
cały,
przyciągnął do desek, które jednym bokiem przypierały prawie do
gumien i
skrzesał ognia.
Przez chwilę słychać było wśród głuchej nocy suche ostra uderzenia
krzemienia o
stal. Sypały się z niego iskry błękitne, aż wreszcie jedna z nich padła
na
hubkę, zatliła ją i niebawem buchnął w górę kłęb szybkiego
płomienia, jakim się
słoma zajmuje.
Józwa zaśmiał się głośno, skręcił słomę, wcisnął pomiędzy deski,
potem
rozgarniał słomę, rozpalał ją znowu i niedowierzając palności desek,
rzucił na

słomianą strzechę starego gumna, która w tem miejscu nad zakłęsłą
ścianą
spuszczała się tak nisko, że mógł ją ręką dosięgnąć, zatlone pęki
słomy.
Przez chwilę czerwone iskry biegły tu i owdzie, gasły niby zakradały
się
zdradliwie pod mchem porastającą strzechę i tylko białymi liniami
dymu zdradzały
swą obecność, aż wreszcie trafiły na kawał świeżej poszewki i tułaj
rozwiemożniły się, ześrodkowały w ognisko, z kąd już buchnął w
górze płomień,
kłócąc się ze srebrnym światłem księżycy, z przezroczystą nocą i
roznosząc wśród
ciszy rzeźwego powietrza, nieznośną woń spalenizny.
Józwa patrzył przez czas jakiś błędnie oczami, jak niszczący żywioł
coraz
szersze koło zagarniał.
Nagle przypomniał sobie, że stodoły do tej pory pełne były jeszcze
zboża.
Dworskie pola były starannie okopane rowami to też, kiedy wszędzie
wymokło,
lulaj był urodzaj znakomity i całą zimę tylko zwożono i młócono
sterty a teraz
tego omłotu pełny był spichlerz stary, modrzewiowy, o piętrze, który
spiczastym
dachem panował nietylko nad okólnikiem, ale i nad drzewami sadu. I
przemknęło mu
przez myśl, że ludziom brakowało chleba, a tu-

taj go było tyle, żeby można całą wieś do nowego zniwa przekarmić.
Ale była to myśl przelotna i zgłuszyło ją uczucie głodu, które na samo
wspomnienie chleba odezwało się w nim całą siłą istotnej potrzeby i
zwierzęcego
instynktu.

— Ha! — mruknął przez zaciśnięte zęby. — I takby z tego ludziom
nie było

pożytku, niech się pali. Niech się pali wszystko. Jak te deski, nie dali
mi ich
na trumnę, niech się pali, niech się pali!
Nie pamiętał, że miał dopiero zamiar o nie prosić, że o zamiarze tym
nie
powiedział nikomu. W jego zmaconej, rozgorzałej głowie zamiar
zdawał się faktem
spełnionym.
I spoglądał z wściekłą radością, jak powiększał się krąg płomienia.
Noc była chłodna, Józwa zmoczony, głodny, zmożony bólem i
cierpieniem, drżał jak
liść. Ciepło poczynającego się pożaru, sprawiało mu fizyczną
przyjemność,
przejmowało uczuciem dobrobytu, osuszało zmoczone odzienienie.
Bezmyślnie
wyciągnął ręce i grzał je.
Wiatr nocny rozdmuchiwał kręgi ogniste i porywał iskry, które
padając na
rozgrzaną strzechę, nieciły nowe płomienie, a kręgi czarnego dymu,
niby ramiona
pożaru, obejmowały coraz szerszą przestrzeń, i wijąc się, pełzając, aż
otoczyły
w końcu wieńcem stodoły, które zbudowane w klamrę, łączyły się z
sobą i miały
jeszcze w pośrodku ową piramidę desek, która teraz na kształt
ognistego stosu,
zapłonęła nagle górując nad dachem i oświecając krwawą łuną obłoki.
Wróble wypłoszone z gniazd przytulonych pod strzechą gumna
wyleciały gromadą i
świergocąc mieszały ptasią wrzawę do charakterystycznego szmeru
płomienia.
Zerwało się i stado białych gołębi, które szukały sobie schronienia i
pokarmu w
wnętrzu stodoł. Bociany zaniepokojone nagłą jasnością podniosły się
na wysokiej
topoli,

gdzie miały usłane gniazdo, zaklekotały donośnie, jakby na trwogę i rozumiejąc niebezpieczeństw, porwały się do lotu, opuszczając swoją siedzibę. Ludzie spali, a jeśli kto czuwał jeszcze we dworze, to widocznie nie miał okien zwróconych ku gumnom, bo płomień ogarniał coraz większą przestrzeń i powoli stawał się niezwalczonym. Józwa cofał się przed nim pomału. Przyjemne ciepło zmieniło się w nieznośne gorąco., które zmuszało go ustępować coraz dalej przed wzmagającym się kręgiem płomienistego światła, uciekał jak ptak nocny, kryjący się w obec jasności. Aż wreszcie kiedy tajemniczy, złowrogi szept ognia stał się groźnym poświstem, kiedy przyłączył się do niego trzask walących się krokwi, kiedy wiatr roznosił zapalone snopy, które na kształt złotych ptaków latały po powietrzu, a gdzie padły roznosiły zniszczenie, ktoś przypadkiem zobaczył pożar i krzyknął: "gore, " ludzie zbiegać się zaczęli z krzykiem, trwogą, lamentem, jak zwykle bywa w podobnych razach. Na rozległej przestrzeni było teraz tak widno, iż według utartego wyrażenia, można było szpilki zbierać po ziemi. To też Józwa widział wyraźnie, jak zbiegli się naprzód dworscy, a dalej wieś cała. Był tu i rządcą z dziedzicem. Ratunek był niemożliwy, już bliższe budynki, stajnie, obory ogarniały płomienie. Józwa był teraz daleko. Zrazu cofał się przed gorącem, potem cofał się przed ludźmi. Ogarnął go dziwny przestach ludzkiego wzroku. Podobnym był do dziecka,

Które spełniwszy psotę jakąś, kryje się przed okiem starszych.
Zdawało mu się,
że każdy na jego obliczu wyczyta to, co uczynił, a zapytany nie
byłby się
wypierał.
Ale nie pytał go nikt, bo on chromiąc, upadając, czołgając się czasem,
szedł
coraz dalej od ognistego kręgu, który zgromadzał ciekawych. Nie
zważał co stało
na

jego drodze, zapatrzony on także w te słupy płomieni i dymu, które w
całej
majestatycznej grozie rozpościerały się na widnokręgu.
Nie zważał, co było za nim, cofał się, byle dalej od tego płomienia,
który teraz
przejmował go niepojętą trwogą i z drogi zeszedł na łąkę wiodącą do
młyna.
Czasem uderzał o drzewo, o kamień w ziemię zakłęśły, to go nie
zatrzymywało.
Wszedł w krzaki, które młyn otaczały poza niemi w głębokiem
wyżłobieniu płynęła
rzeczka i był staw o brzegach prostopadle ściętych.
Miejscowość tę Józwa znał dobrze. Przecież tak, jakby jej nie znał,
szedł na
przełaj zapatrzony w ogień, którego odbłyśki aż ta dochodziły. Nagle
uczuł pod
stopami próżnię, wyciągnął ręce, chciał się o coś zaczepić, ale palce
jego
pochwyciły tylko wiotką roślinę, która została mu w ręku, a korzenie
osypały go
wilgotnym piaskiem. Chciał krzyknąć, ale nie miał czasu. Woda
plusnęła,
zakipiała przez chwilę, potem widać było ręce wydobywające się na
powierzchnię

konwulsyjnie poruszone, potem trwało wrzenie czas jakiś, aż wreszcie woda wygładziła się stopniowo i odbiła spokojnie łunę pożaru, i biały blask miesiąca.